

PIOTR LOTI.

Okrętowe woły.

Przekład z fraucuskiego.

Wieczór... na Indyjskim oceanie — hen daleko od ziemi wiatr jęczy i hucza fale...

Pozostały nam już tylko dwa woły z dwunastu, zakupionych w Singapurze! Oszczędzano tych dwóch Mohikanów, albowiem, dzięki nieustającym burzom, podróż nasza przedłużała się do nieskończoności.

Dwa biedne, chude, nędzne, podróżą wymęczone woły! Z pod skóry występowały kości... Od tyłu dni na wodzie, coraz dalej, dalej od rodzinnych łąk i pastwisk, których nie ujrzą już nigdy! Uwiązano je szeregami, krótkimi łańcuchami za rogi. Z jakąż rezygnacją pochylili się te biedne głowy, ile razy fala napływała ku nim; i strumieniem zimnej wody obryzgiwała ich drżące ciała.

Wzrok miały smutny, ponury — niemal ludzki w wyrazie niewysłowionego bólu i trwogi; żuły w milczeniu liche, morską wodą nasiąknięte siano. Nieszczęśliwe stworzenia, skazane na zagładę, za życia już wykreślone z liczby żyjących istot, ileż wy wycierpieć musicie, zanim wybijie ostatnia wasza godzina! Dokuczy wam zimno, nie oszczędzi was spieniona chłodna fala, ból będzie toczył zdrętwiałe wasze członki — a lęk przyspieszać będzie bicie przerażonego serca!

Wieczór, o którym mówię, był dziwnie smutny! Na morzu bywają często takie wieczory; gdy z dalekiego widnokręgu zwieszają się poszarpane, grobowe chmury, gasną ostatnie błyski świtu, złowrogim głosem wiatr jęczy przeciągle, a wszystko zapowiada noc groźną, niepewną...

Dusza na widok owej ponurej nieskończoności drży i trwoży się, ogarnia ją lęk jakiś nieprzewidywany, jakiego człowiek nie doznaje na stałym lądzie wśród najposępniejszych nawet krajobrazów i zjawisk natury.

A biedne, nieszczęsne dwa woły, rzucone wśród łąk i kniei zielonych, musiały bardziej od nas czuć się osamotnione na tej ruchomej pustyni wód. Biedne, nie miały nawet nadziei, która nam, ludziom przyświecała, a tępy ich umysł zwierzęcy ich instynkt ukazywały im w tej czarnej, nieskończonej, huczącej otchłani, czyhającą na nich w niedalekiej przyszłości śmierć okropną.

Przeżuwały nędzną strawę, powoli, ostrożnie, jak chore; ich wielkie blade oczy były utkwione w ciemny przestwór oceanu. Padły kolejno na tych deskach, pod toporem rzeźnika towarzysze ich niedoli. Pozostały same, zbliżyły się do siebie, tuląc się do siebie mimowolnie jeden do drugiego przy każdym gwałtowniejszym zakłóceniu i pocierały się wzajemnie rogami, by choć tym sposobem wyrazić swą zwierzęcą przyjaźń.

I oto, po dwóch tygodniach bezczynnego wyczekiwania, zjawia się nagle w mojej kajucie główny nadzorca pro-

wiantu — kat wołów, i wypowiada okrutny wyrok: „Kapitanie, zabijemy wołu!“ Zbudzony jego głosem z posępnych rozmyślań, zakląłem gwałtownie. Człowiek spojrział na mnie zdumiony. Czem zasłużył na tak złe przyjęcie? Nie hańbił się przecież morderstwem — spełniał jedynie swój obowiązek....

Cóż jego obchodzić mogło, że byłem rozdrażniony i że serce moje wzbierało niedorzeczną litością dla ofiar naszej żarłoczności.

Nie stanowczo, podczas podróży owej prześladowało mnie widocznie jakieś fatum.

Zabijanie wołów przypadało niezmiennie w dni mego dyżuru. Nie mogąc zejść z posterunku, muszę stać na pokładzie — a tam niżej podemną odbywa się to ohydne morderstwo. Odwracam oczy, usiłuję myśleć o czem innym, wpatruję się uporczywie w niezmierzoną taflę wód... Nie pomaga. Słyszę dokładnie, przerażająco wyraźnie straszne uderzenie między rogi, następnie głuchy łoskot padającego ciała. szereg kości. Na okręcie odbywa się to wszystko z błyskawiczną szybkością. W mgnieniu oka obdzierają zwierzę ze skóry i ćwiartują mięso; w powietrzu roznosi się wstrętne woń dymiących jeszcze wnętrzności, a krew szeroką strugą zalewa tak czystą zazwyczaj podłogę...

Będą zabijali wołu! Gromada majtków skupiła się przy słupie, do którego uwiązano nieszczęśliwe zwierzę. Los padł na słabszego, zaledwie już żywego. Dał się zaprowadzić, uwiązać i zabić bez najmniejszego oporu.

A przyjaciel jego uniósł łeb, powiódł za nim smutnymi oczami i widząc, że go prowadzą na to miejsce, na którym padli tamci... zrozumiał. Rozświetliło się nagle w tym biednym mózgu. Zwierzę ryknęło boleśnie, rozpacznie!

Ach... ryk tego wołu! Nie zapomnę go chyba nigdy! Była w nim ponura groza i rozpacz bezmierna i rozdzierające poddanie się nieuniknionemu losowi i jakby wyrzut, jakby ciężkie oskarżenie ludzkości: czemuż mnie, skazanemu, choć tego widoku nie oczczędzicie? — Jęknął tak głucho, iż zdawało mi się, stłumił swój wielki ból, pojmując całą jego niemoc, wobec kamiennej obojętności człowieka. Czulem wyraźnie w tem, jakby łkaniu zwierzęcia, tragiczną świadomość bezmiernej krzywdy.

Może wół myślał:

— Tak... wybiła godzina nieubłaganej śmierci z waszej ręki dla tego, który był ostatnim moim bratem, i przybył tu ze mną — z odległych stron, ojezyny, gdzieśmy żyli wolni, szczęśliwi wśród kwiatnych, wonnych łąk. I każecie mi patrzeć na jego śmierć, każecie mi myśleć, iż przyjdzie wkrótce kolej i na mnie — i że nie pożałuje mnie żadna żywa, czująca istota — nie ulituje się nikt nademną, jak nie ulitował się nad nim!

Nie, nie! — moje serce wzbierało litością dla biedaka, litością tak wielką i tkliwą, iż miałem ochotę zbliżyć się do niego, ująć jego chorą, brzydką głowę, przytulić ją do siebie — i ukoić nieszczęśliwe, opuszczone stworzenie złudzeniem opieki czułości, tem słodkim złudzeniem,

którem pieścimy nieszczęśliwych i umierających!

W istocie, nie było dla niego ratunku! Odczuwałem głęboko, całą potęgą mej istoty — jego przebolesny jęk, — rozumiałem atoli jednocześnie, iż nie uczynić dla niego nie mogę. Przecież statek nie zmieni kierunku podróży dla rozpaczego ryku zwierzęcia i niepodobna odmówić trzystu marynarzom przynależnej im porcji mięsa! W szalonej chyba głowie mogłaby powstać myśl podobna!

Tymczasem usłyszał wołanie wołu i snać zrozumiał, odczuł boleść zwierzęcia — mały chłopiec okrętowy. Może i on sam był na świecie i nie zaznał nigdy iroskliwej opieki, ni litości! Zbliżył się do osamotnionego zwierzęcia i jął pieścić go czule.

W rozgorączkowanej wyobraźni zdawało mi się, że mi szum wody niesie te słowa ponurej pociechy:

— Umrą kiedyś i oni, ci wszyscy, którzy jutro ciebie spożywać będą: umrą i najmłodszy i najsilniejszy, a godzina ich śmierci będzie może stokroć jeszcze bolesniejsza od twojej. Kto wie, czy wtedy nie pozazdroszą ci oni uderzenia zabójczą maczugą w głowę?!

Wół, jakby rozumiejąc pocziwe uczucie dziecka, oddawał mu pieśczętę za pieśczętę, przytulał się drżący do chłopczyzny, patrzył w niego łagodnymi smutnymi oczami i lizał jego rękę...

Niebawem jednak zgasł krótki, przełotny błysk zrozumienia w biednej zwierzęcej głowie. Wśród pełnej grozy nieskończoności, unoszącej statek wśród lodowatej mgły i mroku, zapowiadającego noc burzliwą, w pobliżu miejsca, gdzie martwe, półciartowane, krwią ociekające cielsko towarzysza, wisiło na haku, — wół pochylił się nad sianem i począł jeść spokojnie. Jego ciasny umysł nie sięgał dalej... po chwilowem wstrząśnieniu nie myślał już o niczem — i nie nie pamiętał...

(8 VI) 1867 — (8 VI) 1907.

Z tamtej strony Litawy na Węgrzech, w kraju, politycznie podminowanym, — w kraju, w którym toczy się na całej linii zawzięty stronnictw bój; obchodzi się dzisiaj niezwykle jubileusz.

40 lat upływa dzisiaj od chwili, w której w Budzie ozdobiono skroń naszego najdobrotliwszego Cesarza koroną św. Szczepana. Duchowo i Cislitawia brała udział w tej uroczystości, bo ustanowienie odrębnego i samodzielnego królestwa węgierskiego było znakiem dla naszej połowy państwa, że nastąpi nowe ukształtowanie się stosunków cislitawskich na podstawie owych zasadniczych wolności, które miała zagwarantować konstytucja grudniowa, wejść mająca w życie w kilka miesięcy po uroczystości czerwcowej. Na samych Węgrzech uroczystość koronacyjna obudziła entuzjastyczne echo, które zahuczało głośnym orkanem w chwili, w której wieść obiegła, że Cesarz i Cesarzowa przeznaczyli podarki koronacyjne, otrzymane od na-